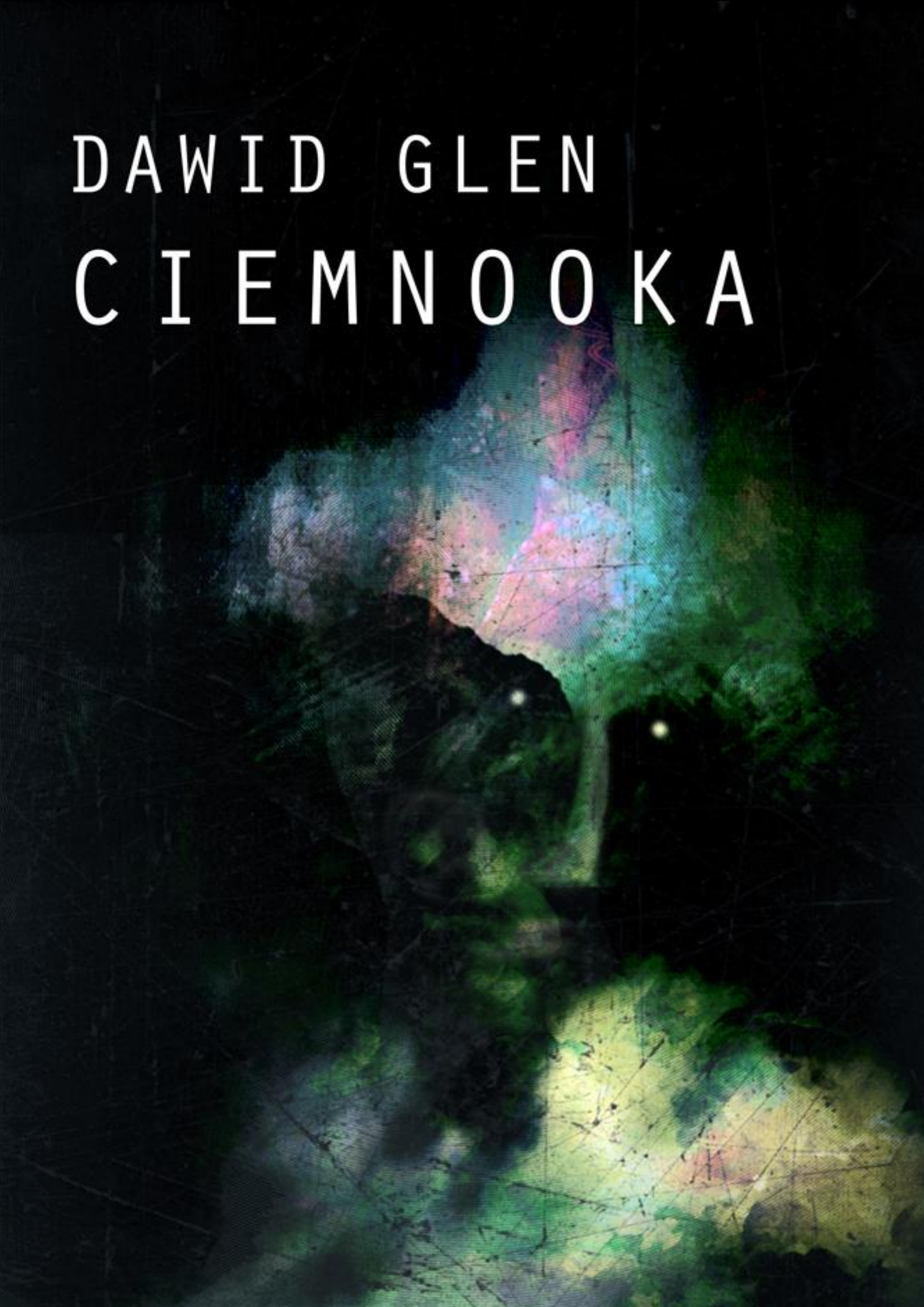


DAWID GLEN
CIEMNOOKA



Dawid Glen

CIEMNOOKA

© Copyright by Dawid Glen 2010

Projekt okładki: Aleksander Caban

ISBN 978-83-61184-75-1

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości

bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2010

V

Ambulans jechał dosyć szybko, ale bez sygnału. Zbyszek zamknął oczy i starał się nie myśleć. Czuł ogarniającą go depresję. Nie mógł się skupić i wyciągnąć gdzieś z zakamarków świadomości przyczyny takiego obrotu sprawy. W tej chwili nie ważne było, kto go zdradził. Stało się, jechał znowu za mur za okna z kratą, za białe drzwi bez klamek. Nie stawiał oporu.

Lekarz dyżurny na Izbie Przyjęć dał znak pielęgniarzom, żeby wyszli i wskazał Zbyszkowi krzesło.

– Proszę siadać. Pan Szanecki, jeśli się nie mylę?

Patrzył na Zbyszka uważnie, z wyraźnym zainteresowaniem.

– Tak.

– Jesteśmy tu po to, żeby panu pomóc. Powinien pan z nami współpracować. Na razie dla pańskiego dobra musimy ulokować pana na sali obserwacyjnej.

Zbyszek milczał. Wiedział, co to znaczy *obserwacyjna*, gdzie przez całą noc pali się światło i dwóch pielęgniarzy obserwuje każdy ruch pacjenta. Był na to przygotowany.

Lekarz wezwał pielęgniarzy.

– Proszę odprowadzić pana na oddział.

Szli wąską alejką, otoczoną z dwóch stron żywopłotem. Te alejki kojarzyły mu się z cmentarzem. Zapadał zmrok. Myślał o Annie. Miał wrażenie, jakby życie zaczęło cofać się, jak człowiek na oblodzonej ścieżce pod górę. Doszli do budynku. Zaprowadzili go krętymi korytarzami do dyżurki.

– Proszę się przebrać w piżamę.

Włożył na siebie podane rzeczy.

– Muszę jeszcze zrobić panu zastrzyk. Proszę na chwilę spocząć.

Wiedział, że to skopolamina, po której będzie czuł się przytępiony i senny. Po dziesięciu minutach był już na sali. Pielęgniarka podprowadziła go do jednego z dziesięciu łóżek i kazała mu się położyć. Usiadł i zamknął oczy. Czuł obecność tych dziewięciu, ale nie chciał widzieć teraz nikogo. Przykrył się kocem. Powoli ogarniała go senność. Nagle usłyszał szept, tuż koło swojej głowy:

– Masz chleb?... Kawalek suchego chleba? Na pewno masz, widziałem jak chowałeś do kieszeni. Pssst... Nie odwracaj głowy, podaj mi pod łóżkiem...!

Nie wiedział, jak zareagować. Leżał bez ruchu. Postanowił przeczekać. Czy ten człowiek jest głodny? Chyba dają tu jeść? Po co mu suchy chleb? Nie otwierał oczu. Nagle usłyszał przytłumiony jęk, dochodzący z prawej strony. Odwrócił głowę... Cisza?

Jeden z pielęgniarek wstał i przeszedł w kierunku okna. Nie popatrzył nawet w kierunku, z którego, jak się wydawało Zbyszkowi, dochodził ten dziwny odgłos. Na sali nie działo się nic szczególnego. W tej samej chwili dziwny jęk powtórzył się. Tym razem był trochę dłuższy i bardziej przejmujący. Wydobywał się spod koca okrywającego kształt nieregularnej figury geometrycznej.

W ciągu następnych dziesięciu minut, jęk powtarzał się regularnie, jakby sterowany ukrytym mechanizmem. Nikt nie zwracał na to uwagi. Kilku pacjentów spało. Zbyszek czuł się nieswojo. Ten, który prawdopodobnie szeptał o chlebie, leżał o dwa łóżka dalej i obserwował go.

Przy którymś z kolei przedłużającym się jęku, pielęgniarka podszedła do jęczącego kształtu i uderzyła metalowym kluczem w wystający stożek. Jęk się urwał i pielęgniarka wróciła do swojego okna.

Zbyszek opadł na poduszkę, zamknął oczy i usiłował zapomnieć, gdzie się znajduje. Zasypiał z mocno zaciśniętą pięścią pod policzkiem.

Jeszcze kilka razy w nocy powtórzyła się scena z wyjącym namiotem i kluczem, który uderzał w jego wierzchołek, ale on tego nie słyszał. Rano obudził go jakiś dziwny hałas.

Zobaczył półnagiego chłopca wdrapującego się na poręcz łóżka. Chłopiec rozejrzał się po sali i z przeraźliwym chichotem skoczył w sam środek żółtej plamy słońca na podłodze. Następnie śmiejąc się, podbiegł drobnym kroc-

kiem do poręczy i zaczął się na nią wspinać. Dopiero teraz Zbyszek zauważył, że ci pacjenci, którzy w nocy spali, byli po prostu przywiązani do łóżek. Jednemu z nich, właśnie teraz udało się wyswobodzić jedną rękę z łapki i zaczął szybko rozwiązywać krępujące go pasy.

Zbyszek patrzył na to powracanie do wolności niebezpiecznego wariata i spodziewał się za chwilę dantejskiej sceny, ale nic się nie stało, człowiek ten po odrzuceniu ostatnich pęt, usiadł spokojnie na łóżku i nie ruszając się, patrzył otępiąłym wzrokiem przed siebie.

W kącie sali na stosie pościeli, z szeroko rozwartymi ramionami, siedział trzydziestoletni mężczyzna. Od dłuższego czasu nie zmieniał pozycji. Na sali nie było teraz pielęgniarzy. W pewnej chwili do Zbyszka podszedł owinięty w szlafrok olbrzym, miał około dwóch metrów wzrostu, spłaszczony nos i małe rozbiegane oczka.

– Ty jesteś od ALFA? Co?! No, gadaj?!!

Zbyszek popatrzył na niego nic nie rozumiejąc. Twarz tamtego była blada i napięta. Małe oczka zatrzymały się na skórzanym medalionie wiszącym na szyi Zbyszka. Na prostokątnym kawałku skóry wypalona była duża litera „A”.

Olbrzym pochylił się i syknął:

– Nasłali cię sukinsss...!

Złapał lewą ręką za medalion i szarpnął mocno. Zbyszek przerażony i wściekły wyprostował zgiętą nogę i trafił go w brzuch. Medalion wyślizgnął się z ręki napastnika. Stał przed nim. Dzieliło ich łóżko. Zobaczył wykrzywioną grymasem bólu twarz tamtego. Teraz przygotowany był na atak. Chciał walczyć. Olbrzym chwycił ręcznik wiszący na poręczy, zamachnął się i Zbyszek poczuł smagnięcie po oczach. Na chwilę oślepl. Odruchowo uniósł prawą rękę, żeby zasłonić twarz i wtedy mocne uderzenie rzuciło nim o ścianę. Przeszyła go ostra jasność, a w moment później ostry ból i wrażenie, jakby wepchnięto mu lewe oko do mózgu. Stracił przytomność. Osunął się miękko na ziemię. Tamten kopnął go jeszcze na oślepl i widać usatysfakcjonowany, odwrócił się i odszedł.

W chwilę później otworzyły się boczne drzwi i pielęgniarz zawołał:

– Do kąpieli!

Dwóch pacjentów podniosło Zbyszka i położyło na łóżku. Wracala mu przytomność. Otworzył oczy, ale lewe oko pulsowało tylko gorącym bólem, zalane było krwią z rozbitego łuku brwiowego. Cała lewa strona twarzy paliła go.

Pacjenci zdejmowali piżamy i ustawiali się nago w kolejce.

– Na co czekasz? Ty, nowy!

Zdjął piżamę i stanął na końcu kolejki.

– Szmaty rzucić na jedną kupę! – krzyknął pielęgniarz i zaczął wpuszczać do łazienki. Zbyszek wszedł ostatni i zamknęły się za nim drzwi.

Było to niewielkie pomieszczenie. Od sufitu sterczało kilka metalowych krawków w betonowej podłodze były trzy kratki ściekowe. Kojarzyło się to z komorą gazową w Oświęcimiu, którą oglądał kiedyś na wycieczce szkolnej.

Pielęgniarz zarygłował drzwi i odkręcił kurki. Strumień wody oblał Zbyszka i od razu poczuł ulgę. Woda zalewała mu oczy i spływała po całym ciele. Nastawił twarz pod strumień i mimo bólu, trzymał tak przez chwilę. Palcami dotknął rany, wyczuł zgrubienie. Tępy ból pod czaszką powoli ustępował. W tym momencie ktoś wsunął mu do ręki śliski przedmiot. Oczy miał zamknięte. Domyślił się, że to kawałek mydła. Wysunął się spod tuszu i namydlął całe ciało. Wszedł pod strumień wody. Szum zagłuszał słowa, oczy miał zamknięte, teraz był przez moment odizolowany od reszty świata.

Dlaczego to właśnie mnie się zdarzyło? Czym różnię się od innych? Kto im dał prawo? Przecież nie jestem przestępcą?! A może to tylko mnie się tak wydaje? Może walnąłem kogoś w ucho bez powodu, albo zerznąłem jakąś małą dziewczynkę, a potem biegałem po osiedlu i śpiewałem rewolucyjne pieśni, a teraz zupełnie tego nie pamiętam?

Strumień wody nagle się urwał.

– Koniec kąpieli!!

Pielęgniarz odrygłował drzwi.

– Wychodzić pojedynczo!

Wychodzili. Pielęgniarz podawał każdemu czysty ręcznik i odbierał resztki mydła. Drugi pielęgniarz wydawał czystą bieliznę i piżamy. Zatrzymał Zbyszka na chwilę i uśmiechając się ironicznie powiedział:

– Tu się nie podskoczy, nie tacy jak ty, studenciku, padali jak muchy. Trzeba być grzecznym, kochasiu! No jak...!?

Zbyszek patrzył na niego, początkowo nie rozumiejąc.

– O czym pan mówi? O co chodzi?!

– Nic, nic, przyjemniaczkę. Bierz łachy i na salę. A spróbuj coś pisnąć... przy obchodzie!

Teraz zrozumiał. Oni wiedzieli, że tamten go bije i nie interweniowali. Chcieli mu dać nauczkę, żeby siedział cicho.

– Skurwysyny!!! – zaklął, chociaż prawie nigdy nie przeklinał.

Ubrał się szybko i stanął przy oknie. W tym pomieszczeniu kraty były założone z obu stron okna. Przyłgął rozbitą twarzą do zimnej kraty. Za oknem, ciepły czerwcowy ranek. Rozwożono śniadanie do pawilonów. Przestrzeń między pawilonami dzieliła regularna siatka żywoptów. Był to żywy bajeczny labirynt. Na odległej ścieżce rozpoznał sylwetkę znajomej pielęgniarki. Biegła w kierunku szpitalnej apteki. Lubił tę dziewczynę, była z *insuliny*, zawsze uśmiechnięta, serdeczna. Czasem brała nocne dyżury na jego oddziale, kiedy tu był za pierwszym razem. Wtedy przychodził do dyżurki, pomagał jej rozkładać leki, a potem do późnej nocy rozmawiał z nią półgłosem. Było im dobrze. Rozmawiali o swoim życiu. Każde z osobna przedstawiało to, co było jego zdaniem najciekawsze. Zbyszek zdawał sobie sprawę, że część tych historii jest zmyślona, ale to im nie przeszkadzało. Kiedyś zapytała, dlaczego nie odwiedzają go rodzice. Odpowiedział, że wyjechali za granicę. Nie przyznał się, że nawet nie wiedzą o jego pobycie w szpitalu. Zresztą, wtedy wcale nie chciał ich widzieć.

Teraz przypomniał sobie tę rozmowę sprzed lat. Przykro mu było, gdzieś w środku, odezwały się zazdrosne struny. Odwrócił się gwałtownie od okna. Był wściekły. Czemu się tu znalazł? Dlaczego nie może poradzić sobie sam ze swoją depresją? Teraz, kiedy już tu był, kiedy przeżył już te wszystkie upokorzenia, kiedy uciekł od tego beznadziejnego lęku o... o nie wiadomo co. Teraz czuł, jak opuszcza go stan zahamowania. Czuł jak się mu wrywa. Czy jednak starczy mu siły, żeby się wyzwolić z tej matni, w jaką się wplątał przez te swoje pomysły? Depresja przyszła później, kiedy przekroczył ten próg, ten próg olśnienia, kiedy zrozumiał więcej, niż mógł wytłumaczyć.

Na salę wniesiono termosy ze śniadaniem. Pacjenci szybko ustawili się w kolejce. Stał razem z innymi, wziął swoją porcję i usiadł przy stole. Teraz mógł obejrzeć ich twarze z bliska. Byli to mężczyźni w różnym wieku, najstarszy miał około sześćdziesiątki. Pochyleni nad swoimi plastikowymi talerzami, jedli w milczeniu. Nie wszyscy byli przy stole. Chrystusowaty leżał na łóżku i tępo patrzył w sufit. Tych czterech, którzy rano byli przywiązani do łóżek – nie było na sali. Nie wrócili z kąpieli.

Zbyszek był głodny, zjadł swoją porcję bardzo szybko. Człowiek od suchego chleba, zebrał naczynia i ustawił je równiutko na brzegu stołu. Pielęgniarki wystawili termosy i naczynia na korytarz. Zbyszek patrzył na salkę – teraz wydawała mu się jeszcze mniejsza. Zastanawiał się jak można wytrzymać na tak niewielkiej przestrzeni, dzień w dzień przez długie miesiące? I to jest to miejsce gdzie człowiek ma wrócić do zdrowia??

– Ścielić wyra! Za pół godziny obchód!

Zbyszek drgnął. Ostry głos pielęgniarki budził w nim fizyczny wstręt. Pochylił się nad swoim łóżkiem i wyglądził prześcieradło. Kątem oka obserwował pacjenta leżącego z lewej strony. Był to może czterdziestoletni mężczyzna, który twarz miał obrzękłą i martwą, poruszał się jak automat. Wszystkie ruchy wykonywał jakby w zwolnionym tempie. Milczał. Zbyszek przez moment pomyślał, że przecież jeżeli będzie co rusz trafiał tu, do *czubków*, to za jakiś czas, też może wyglądać tak jak ten gość. Przeraził się tej myśli. Nie chciałby nigdy występować w roli żywego trupa.

Na salę weszło tych czterech. Pielęgniarka podprowadziła każdego z osobna do łóżek. Przykryła ich prześcieradłami i po chwili już spali.

– To pewnie *insulinowcy* – pomyślał.

Mógł obserwować tę kurację po raz pierwszy.

Pielęgniarka usiadła na krześle obok pierwszego łóżka i zaczęła przeglądać jakiś tygodnik ilustrowany. *Chrystusowaty* w dalszym ciągu trwał w niezmienionej pozycji. Salowa karmiła tego, który tak dziwnie jęczał całą noc. Był to może osiemnastoletni chłopiec z twarzą cherubinka. Nazywali go *radielko* z powodu sygnałów, które nadawał w regularnych odstępach czasu.

W tej chwili weszła na salę starsza pielęgniarka – chyba oddziałowa – na tacy niosła lejek, dren gumowy i garnuszek półlitrowy z jakimś żółtym pł-

nem. Razem z siostrą od insuliny, podeszła do *chrystusowatego*. Dwóch pielęgniarzy przytrzymało go za ramiona, a siostra insulinowa wepchnęła gumowy dren w dziurkę nosa *chrystusowatego*. Początkowo trochę się szarpał, ale po chwili uspokoił się i leżał zapatrzony w sufit. W drugi koniec drewnu, włożono lejek i oddziałowa zaczęła powoli wlewać żółty płyn do lejka.

Było to karmienie sondą. Podobno *chrystusowaty* postanowił zagłodzić się na śmierć i od kilku dni nic nie jadł.

Zbyszek patrzył na to i robiło mu się niedobrze. Żółty płyn spływając, bulgotał i pienił się. Odwrócił twarz. Czuł, że zjedzona przed chwilą owsianka, zaczyna mu podchodzić do gardła.

Chciał sobie wytłumaczyć, że dokonany przed chwilą na jego oczach gwałt na człowieku, miał bardzo humanitarne podstawy, ale czy skazywanie na życie, nie jest tym samym, co skazywanie na śmierć? Nie potrafił tego zaakceptować.

Podszedł w kierunku okna. Patrzył na zieleni. Mdłości powoli ustępowały. Stał tak chwilę trzymając się zimnej kraty. Z sali dolatywało go lekkie rżenie insulinowców. Zapadali w głęboką śpiączkę.

Otworzyły się boczne drzwi i na salę weszło trzech lekarzy.

– Obchód! Proszę do swoich łóżek! – powiedziała siostra oddziałowa, która właśnie skończyła karmienie sondą.

Lekarze zatrzymywali się przy kolejnych łózkach i cicho wymieniali uwagi między sobą. Dyżurna pielęgniarka notowała wskazania. Ten, który był w środku, prawdopodobnie – ordynator, podchodził do każdego pacjenta i podawał mu rękę. Był to zwykły test psychiatryczny. Pacjent, który nie chciał podać ręki, otrzymywał w notesie pielęgniarki, kreskę poziomą, co było związane wprost proporcjonalnie z dawką leku.

Podeszli do łóżka Zbyszka. Ordynator popatrzył na niego i zapytał:

– Jaki mamy dzień tygodnia?

Zbyszek osłupiał. Pytanie było tak niespodziewane i tak konkretne, że nie mógł znaleźć odpowiedzi. Lekarz milczał obserwując go.

– Chyba piątek – wykrztusił.

– Co z pańskim lewym okiem?

Przy tych słowach jeden z lekarzy asystujących, podszedł do Zbyszka i dotknął palcami opuchniętego łuku brwiowego. Zbyszek zacisnął zęby, żeby nie jęknąć i po chwili spokojnie powiedział:

– To głupstwo, poślizgnąłem się w łazience i uderzyłem w framugę drzwi.

Czuł na sobie tryumfujący wzrok pielęgniarki. Wszystko w porządku. Ordynator zapytał jeszcze, czy dobrze spał i odeszli do następnego pacjenta. Pielęgniarka zapisała w notesie: ścisła *obserwacja – bez leków*. Był przygnębiony. Chłodna świadomość wyboru, którego dokonał, nakazywała milczeć. Obojętne mu było, co postanowią. Wiedział, że świat znaczeń, który sobie stworzył nie są w stanie zmienić tych znaczeń. Nawet Anna.

Myśl o niej obudziła w nim czujność. Podświadomie czuł się zależny od tej dziewczyny. Dlaczego właśnie ona? Czy w tej sytuacji nie wykorzystywał swojego położenia, by związać ze sobą wrażliwą, delikatną dziewczynę, gotową na wszystko?

Zadawał sobie to pytanie i jednocześnie pozostawiał je bez odpowiedzi. Bał się tych pytań. Łączyły go z rzeczywistością brutalną i surową, której nie chciał akceptować. Myśl o Annie wytrąciła go na chwilę z równowagi. W środku jak gdyby coś poruszyło się boleśnie, obudziło niepokój. Przez moment miał ochotę wyrzucić wszystkich z sali, razem z tymi lekarzami, grającymi rolę miłosiernych misjonarzy. Bał się. Cały czas towarzyszył mu nieuzasadniony lęk. Nie wiedział, czego się boi. Potem przychodziły chwile odprężenia, uciekania w siebie i znów napięcie. Chciał zapalić papierosa, sięgnął do kieszeni szlafroka i nie znalazł paczki. Kiedy obchód opuszczał salę, Zbyszek podszedł do pielęgniarki i poprosił o kupienie mu paczki. Był trochę zdziwiony, gdy pielęgniarka wyciągnęła swoją rozpoczętą paczkę i powiedziała:

– Proszę tu jest kilka, później panu przyniosę więcej.

Wrócił do swojego łóżka. Na sali panował względny spokój. Wszyscy pacjenci leżeli na łóżkach, tylko *słoneczny chłopiec* – tak go sobie nazwał – biegał od okna do drzwi, dudniąc bosymi stopami o podłogę. Musiało to należeć do codziennej ceremonii, bo pielęgniarze nie reagowali, na te wyczyny. Insulinowcy leżeli spokojnie, lekko charcząc.

Zapalił papierosa i wtedy podeszła siostra insulinowa.

– Proszę zgasić papierosa! Dopóki się nie obudzą, nie wolno! Albo, niech pan poczeka. Panie Józefie!

Zwróciła się do pielęgniarza:

– Proszę wyprowadzić pacjenta na salę ogólną. Tam może pan palić.

Pielęgniarz, ten sam, który przy kąpieli ostrzegał przed ujawnieniem bójki, wziął go pod rękę i otworzywszy drzwi swoim kwadratowym kluczem, wprowadził go do sąsiedniego pomieszczenia.

Była to olbrzymia sala na czterdzieści łóżek. Stały ciasno koło siebie. Pacjenci krążyli między nimi poruszając się dziwnym monotonnym krokiem, przypominającym ruchy zwierzęcia w klatce. Wszyscy byli krótko ostrzyżeni, głowy mieli jakby wciśnięte w ramiona i oczy jak martwe kulki. Było tu prawie czterdzieści osób, a jednak panowała prawie idealna cisza, słychać było tylko szuranie pantofli.

Zbyszek stał jak wryty i patrzył na nich z przerażeniem. Być schizofrenikiem, to znaczy być trupem. Otrząsnął się. Podeszedł do stolika pod oknem, zapalił papierosa, odwracając się od sali. Wtedy podeszedł do niego jakiś człowiek i stał milcząc. Kiedy Zbyszek zgasił niedopałek w popielniczce, ten złapał go trzęsącymi palcami i oddalił się szybkim krokiem. Chciał go poczęstować papierosem, ale tamten jakby rozplynał się między podobnymi do siebie, w takich samych piżamach, w tym samym rytmie poruszającymi się między białymi łózkami.

Na sali dyżurowały dwie pielęgniarki i dwóch pielęgniarzy. Teraz rozmawiali z tym, który go przyprowadził. W pewnym momencie Zbyszek zauważył, że jego pielęgniarz wyciąga z kieszeni fartucha ampulkę. Odpiłował górną część i odwróciwszy się twarzą do ściany, wypił zawartość. Na pewno nie była to glukoza, a może? W końcu, cóż to ma za znaczenie. Stał tak przez chwilę, zapalił jeszcze jednego papierosa. Myślał o tym, że jednak bardzo trudno będzie mu izolować się od tych ludzi, żyć we własnym świecie. Czy wytrzyma? Czy się nie przeliczył? Teraz już wiedział, że punkt odniesienia musi znaleźć w sobie. Całą swoją koncepcję poszerzyć jeszcze o tę jedną wartość. Cykl musi zamknąć się w nim. Karmić go będzie własną wyobraźnią. Ludziom pokaże twarz taką, jakiej oczekują, a Anna? Nie chciał o niej myśleć. W tej chwili wydawało mu się, że jest mu zupełnie obca.

Pielęgniarz podszedł do niego.

– Jeżeli będziesz zachowywał się grzecznie, to może przejdiesz na tę salę, przyjemniaczku.

Wrócili na salę obserwacyjną. Jeden z insulinowców miał drgawki. Wydawał nieartykułowane dźwięki i wił się pomiędzy pasami. Wrażenie było niesamowite. Przypominało wypędzanie diabła z ciała nawiedzonego. Zbyszek usiadł na swoim łóżku i patrzył przerażony. Wydawało mu się, że ten człowiek za chwilę skona. Pielęgniarka jednak siedziała spokojnie, czytając gazetę. Trzej pozostali spali głęboko nie poruszając się. Ten od suchego chleba, rozglądał się trwożliwie po sali i jednocześnie grzebał w poszewce poduszki. Po chwili wyciągnął jabłko i zaczął je pożerać wielkimi kęsami. Olbrzym, który pobił go dziś rano, stał przy kracie i rozmawiał z pielęgniarem. *Chrystusowaty* kiwał się rytmicznie, siedząc w kucki w kącie sali na podłodze. *Radielko* przykryty kocem, milczał.

Porównując te dwie sale, czterdziestu manekinów i tych z jego klatki, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ci z *obserwacyjnej* są jacyś normalniejsi. Mimo warunków, w których się znaleźli, zachowali wyraźną osobowość. Może wiązało się to z tym, że nie podawano im leków? Przerażający był tylko czas zatrzymany, jak gdyby zastygły między kratami okien.

Ludzie w białych fartuchach nie byli żadnym pomostem w kierunku normalnego życia, byli tylko białymi strażnikami niewoli. Tym boleśnieszczą ich funkcja, im głębiej dotykała bólu duszy a nie ciała.

Łóżka tych czterech w śpiączce insulinowej ustawione były pod przeciwległą ścianą. Przykryci byli prześcieradłami, tylko stopy sterczały, głowy mieli umieszczone nisko. Gdzieś już widział taki obraz. Tyko tamte stopy nie poruszały się. To było w prosektorium.

Teraz wydawało mu się, że te drgające palce rozmawiają ze sobą. Chcą coś powiedzieć. Było to jak krzyk, który jest bezsilnością. Kurczyły się i wyprężały pozostając nieme.

Kim byli ci ludzie i dlaczego znaleźli się tutaj? – Myślał o sobie. A jeżeli zaproponują mi taką kurację? Co wtedy? Czy mam prawo odmówić? Kto o tym decyduje?

Ktoś dotknął jego ramienia. Była to pielęgniarka z obchodu. Nawet nie zauważył, kiedy weszła na salę. Podała mu dwie paczki papierosów i zapalki.

– Może zrobić opatrunek na to oko? Wygląda fatalnie.

– Nie! Dziękuję! To głupstwo. Dziękuję za papierosy, ale ja nie mam przy sobie pieniędzy...!?

– Nie ma o czym mówić. Jak pan stąd wyjdzie, będę miała pretekst, żeby się z panem umówić?

Przy tych słowach uśmiechnęła się i odeszła. Chciał ją zatrzymać, poprosić, żeby zadzwoniła do Anny, ale zrezygnował. Jeżeli Anna sama przyjdzie, to i tak będzie to trudna rozmowa. Poczekaj. Musi to przemyśleć. Włożył papierosy do kieszeni.

Na sali nic się nie zmieniło. Tylko siostra insulinowa odłożyła gazetę i zaczęła sprawdzać głębokość snu swoich podopiecznych. Odbywało się to w ten sposób, że końcem klucza pocierała o zewnętrzny brzeg stopy i obserwowała ruch palucha. Trzej pacjenci byli w głębokiej śpiączce, tylko ten, który miał drgawki był w stanie płytkiego snu. Jego paluch wyginał się na zewnątrz. Widocznie dostał mniejszą dawkę insuliny.

Na stoliku obok łóżek przygotowana była glukoza w czterech kubkach. Na tacy leżał lejek i gumowy dren.

Zbyszek zastanawiał się, czy zawsze udaje się pacjenta obudzić? Jeżeli tego wstrząsu nie wytrzyma serce? Nawet, jeżeli wszystko przebiega normalnie. Jaki wpływ mają te wstrząsy na osobowość? Czy ją zmieniają? Czy stosuje się tę kurację tylko wtedy, kiedy inne metody terapeutyczne nie skutkują?

Były to pytania zadawane sobie. Na razie bez odpowiedzi. Tymczasem przystąpiono do budzenia pierwszego, tego, który miał drgawki. Jeden z pielęgniarzy asystował siostrze insulinowej. Znowu podobna historia jak z karmieniem sondą żołądkową. Gumowy dren włożono do dziurki nosa i wepchnięto chyba połowę rurki. W wystający koniec siostra włożyła lejek i zaczęła wlewać glukozę. Pół litra wystarczyło widocznie, bo odstawiła garnuszek i przytrzymując koniec nosa pacjenta, wyszarpnęła gumową rurkę.

Zbyszek podszedł bliżej i patrzył na twarz powracającego do życia. Całe ciało pacjenta było mokre, pot cienkimi strumykami spływał po bruzdach

twarży. Stan zamroczenia trwał jeszcze. Siostra uniosła palcami powiekę. Żrenica widocznie już reagowała na światło, bo spokojnie usiadła i zaczęła przygotowywać następną rurkę i kubek. Po kilku minutach człowiek, w którego wiano pół litra glukozy, otworzył oczy i uniosł głowę. Zbyszek zobaczył jego oczy. Płynęły. Uciekały pod powieki. Ten człowiek chyba jeszcze nic nie widział, ale wyraźnie skupiał się na tym, żeby zatrzymać wzrok na czymś konkretnym, uchwycić równowagę, kontrolę. W następnej sekundzie wyprężył się do tyłu. Z ust wydobył się bulgot i za chwilę spazmatyczny krzyk, jak krzyk ptaka. Opadł bezwładnie na łóżko.

Teraz już Zbyszek zrozumiał, dlaczego przywiązano tych ludzi do łóżek, szerokimi parcianymi pasami.

Oddech był nieregularny, przy wdechu otwierał szeroko usta, jakby chciał połknąć jak najwięcej powietrza. Towarzyszył temu charkotliwy świst. W sekundę później wyprężył się i złapał zębami koniec poduszki, ślina ściekała po policzku. Szarpnął kilka razy głowę i opadł. Siostra otarła mu twarz ręcznikiem. Z ust sączyła się krew – prawdopodobnie przygryzł sobie język – ręcznik złożono kilkakrotnie i wepchnięto mu do ust. Zacisnął na nim zęby. Pielęgniarka wprawnym ruchem obwiązała bandaż dookoła głowy. Nie mógł wypchnąć ręcznika językiem. Przyduszony krzyk, oczy wychodzące z orbit. Zbyszek odwrócił twarz.

Jeszcze poprzednio ktoś opowiadał mu o tej kuracji, ale wtedy słuchał tego jak zmyślonej historyki. Nawet myślał, że opowiadający przesadza. Ludzie przebywający w tym szpitalu, byli obdarzeni bardzo bogatą wyobraźnią, a stany lękowe i depresyjne potęgowały jeszcze ich reakcje. Dzisiaj odbywało się to na jego oczach, był wstrząśnięty. Miał wrażenie, jakby lodowaty cień przesunął się gdzieś pod czaszką.

Usłyszał za sobą szept:

– To wszystko nieprawda!

Odwrócił się i zobaczył tego od suchego chleba. Przeształ z nogi na nogę i coś szeptał. Zbyszek nie wiedział, czy to do niego kierowane są słowa, czy ot, tak w przestrzeń. Tamten nie patrzył w jego stronę, zwrócony był twarzą do ściany.

– Ja nie zabiłem! Ja nie chciałem zabić. To ona mi kazała! Przyszła do mnie w nocy i dała siekierę do ręki. Kazała mi zabić.

Zbyszek struchlał. Ten szept był jak syk węża. Otrząsnął się, chciał odejść.

– Stój! Uwierz mi. Miała takie wielkie, niebieskie oczy. Ciągnęły mnie. Były w końcu tak ogromne jak okna. Były takie dobre. Nie mogłem się oprzeć. To była Matka Boska.

Stał znieruchomiały i słuchał tej dziwnej spowiedzi.

– Wziąłem siekierę, zaszedłem od tyłu i uderzyłem z całych sił, upadła ci-cho do moich nóg. Nawet nie krzyknęła.

– Kogo zabiłeś?! O czym ty mówisz?!

Zbyszek szarpnął tamtego za ramię. Duża ogolona głowa obróciła się w jego kierunku. Zobaczył dwoje niebieskich oczu, ogromnych i pustych. Te oczy nic nie mówiły, jakby były częścią innego człowieka. Emanował z nich spokój, przerażający w kontekście wypowiedzianych przed chwilą słów.

– Zabiłem siekierą swoją własną matkę.

Powiedział to takim tonem, jakby opowiadał, że właśnie wczoraj był na meczu piłkarskim.

– Co było potem, jak się tu znalazłeś?

Milczenie. Głowa nachyliła się w kierunku Zbyszka i konfidencjonalnym szeptem zasyczała:

– Daj kawałek suchego chleba. Wiem, że masz. Daj, bo on zdechnie.

Nie wiedział, co ma zrobić. Odsunął się odruchowo.

– Nie mam żadnego chleba! Odczep się!!

Tamten burknął coś pod nosem i podreptał w drugi koniec sali.

Co u diabła? Czy to prawda? Jeżeli on rzeczywiście zabił swoją matkę, to przecież powinien być we więzieniu, a może to tylko urojenia. Wymyślił to sobie. Może opowiadał to po to, żeby zrobić na nim wrażenie. Najprościej byłoby zapytać kogoś, oni wszyscy znają na pewno te wszystkie wymyślone, czy prawdziwe opowieści. Ale kogo zapytać? Rozejrzał się po sali.

Budzenie insulinowców dobiegało końca. Trzech siedziało już na łózkach i jadło chleb z marmoladą, popijając czarną kawą. Ostatni leżał jeszcze, ale już nie rzucał się, tylko usiłował podnieść głowę, która opadała mu na po-

duszkę. Zdjęto już wszystkie pasy. Siostra otarła leżącemu twarz ręcznikiem i pomagała mu usiąść. Ten seans kończył się.

Radielko zawył przeciągle i teraz, co kilka minut wydawał te same dźwięki, co w nocy. Nikt na to nie zwracał uwagi. Nagle w drugim końcu sali zaczęła się szarpanina. Zbyszek zobaczył dwa skłębione ciała i po sekundzie ten od suchego chleba odrzucony jakąś straszliwą siłą, przeleciał kawałek w powietrzu, po czym szurnął parę metrów po podłodze i zatrzymał się uderzywszy o drzwi. Olbrzym, który dzisiaj rano rozwalił Zbyszkowi oko, szamotał się z dwoma pielęgniarzami, którzy błyskawicznie doskoczyli do niego i wykręcili mu ręce. Ryczał coś i kłął, wyrывая się w kierunku podnoszącego się spod drzwi nieszczęśnika.

– Skurwysyn, zeżarł mi moje mydło! Rozerwę cię na strzępy!!! – doleciało do Zbyszka.

Po chwili pielęgniarzom udało się przewrócić olbrzymia. Z nadzwyczajną sprawnością zawiązali go w koc i przytroczyli do najbliższego łóżka. Ten od suchego chleba miał całą twarz pomazaną krwią zmieszaną z pianą. W ustach miał rzeczywiście kawałek różowego mydła. Gryzł je zębami i usiłował połknąć. Pielęgniarz podszedł do niego. Wtedy on zasłonił twarz rękami. Pielęgniarz chwycił w dłonie jego szczęki, kolanem przycisnął do ściany. Ucisk na szczęki był widocznie bolesny, bo nieszczęśnik szybko otworzył usta i sam wygarnął kawałki mydła. Opatrzono mu rozbitą wargę i potem spokojnie usiadł na krześle patrząc tępo przed siebie.

Zbyszek obserwował go, miał w kącikach ust pianę. Wargę opuchła i zniekształciła twarz. Siedział tak bez ruchu przez długą chwilę. Siostra insulinowa zebrała swoje garnuszki, dreny i wyszła ze sali.

Zbliżało się południe. Tych czterech naciągało piżamy. To wszystko, czego był świadkiem, jak sekwencja jakiegoś makabrycznego filmu, miało powtarzać się prawie codziennie z drobnymi zmianami. Miał być aktorem w tym spektaklu przez najbliższy sezon. Jak to wytrzymać, jak wyzwolić w sobie obojętność? Nie widział tu dla siebie miejsca. Znalazł się w samym środku koszmaru, zwielokrotnionego przez poczucie zagrożenia i niepewności, co czeka go jutro. Był bliski hysterii. Upadł na łóżko i wtulił głowę w poduszkę. Zasnąć albo umrzeć – pomyślał przez chwilę. Teraz zrozumiał, co czują sa-

mobójcy. Śmierć nie jest wyborem, może być koniecznością. Tego nie da się wytłumaczyć, wszyscy rozumieją to zbyt konwencjonalnie. To nie ma nic wspólnego z depresją. Jeżeli sobie ją uświadamiamy – to jej nie ma.

Anna, daleka teraz, gdzieś za murami, tramwajami w świecie, od którego w tej chwili oddalony jest o milion lat świetlnych. W jego mózgu zaczęła pulsować refleksja: może rzeczywiście oderwał się od tego miasta, ziemi, rzeczywistości i znajduje się w innym świecie? Pozostały mu tylko znaczenia ziemskie. Skazany na udział w orgii szaleńców, ludzi-nie-ludzi. Miał wrażenie, jakby wpadł w sidła jakiejś podejrzanego szajki, spiskowców przygotowujących rewolucję, zwabiających ludzi w swoje sieci. Na myśl o tym, że Anna też mogła należeć do nich, włosy zjeżyły mu się na głowie. Zerwał się z posłania, usiadł na łóżku.

Na sali był spokój, tylko regularne jęki uprzytamniały osobliwość tego miejsca. Zapalił papierosa.

– Zbyszek Szanecki! Jest tu taki?

Ostry głos wyrwał go z zamyślenia.

– Tak! Jestem!

– Ma pan wizytę. Proszę za mną.

O AUTORZE

DAWID GLEN ur. 1945; prozaik, poeta, eseista. Studiował medycynę i filozofię, podjął twórczość literacką, utrzymując się z pracy zarobkowej w różnych zawodach. Autor kilkunastu książek, jego utwory tłumaczono na języki: rosyjski, niemiecki, czeski, angielski, włoski i esperanto. W swoich książkach próbuje odpowiedzieć na pytanie; po co żyjemy i dokąd zmierzamy?